

GUILLAUME MUSSO

PONIEWAŻ CIĘ
KOCHAM



1

Noc, kiedy się wszystko zaczęło

Musimy się przyzwyczaić do tego, że przed najważniejszymi skrzyżowaniami naszego życia nie ma żadnych znaków ostrzegawczych.

Ernest Hemingway

Grudzień 2006

Wieczór wigilijny, centrum Manhattanu...

Od rana sypie śnieg. Miasto, które nigdy nie śpi, zeszywniałe z zimna, wydaje się ospałe mimo szalonych iluminacji.

Jak na Wigilię — wskutek pokrywającej wszystko warstwy syckiego śniegu i zasp — ruch jest zadziwiająco niewielki.

Tymczasem na rogu Madison Avenue i Trzydziestej Szóstej Ulicy jedna po drugiej podjeżdżają limuzyny, wysadzając pasażerów na podjazd pięknej budowli w stylu renesansowym, siedziby Morgan Library. Jedna z najbardziej prestiżowych nowojorskich fundacji kulturalnych obchodzi dziś setną rocznicę istnienia.

Na szerokich schodach kłębią się mężczyźni w smokingach i kobiety we wspaniałych sukniach wieczorowych. Tu i ówdzie pojawiają się ekskluzywne futra, połyskuje prawdziwa biżuteria. Wszyscy kierują się do pawilonu ze szkła i stali, którego harmonijny kształt wprowadza budynek w XXI wiek. Na ostatnim piętrze długi korytarz prowadzi do wielkiego pomieszczenia, gdzie w oszklonych witrynach wystawione są niektóre ze skarbów fundacji: Biblia Gutenberga, zdobne manuskrypty średniowieczne, rysunki Rembrandta, Leonarda da Vinci i van Gogha, listy Voltaire'a i Einsteina, a nawet kawałek papierowego obrusa, na którym Bob Dylan napisał słowa *Blowin' in the Wind*.

Stopniowo zapada cisza, spóźnialscy docierają do swoich miejsc. Tego wieczoru część biblioteki została specjalnie przemeblowana, aby umożliwić kilku uprzywilejowanym wysłuchanie sonat Mozarta i Brahmsa w wykonaniu skrzypaczki Nicole Hathaway.

Artystka wychodzi na scenę. Witają ją oklaski. Jest to młoda kobieta około trzydziestki, elegancka, spokojna. Włosy związane w koczek à la Grace Kelly upodobniają ją do filmowych bohaterek Hitchcocka. Jest skrzypaczką światowej sławy, występowała jako solistka z najśłynniejszymi orkiestrami i od chwili, gdy w wieku szesnastu lat nagrała pierwszą płytę, otrzymała niezliczone nagrody. Pięć lat wcześniej w jej życiu zdarzył się dramat, o którym szeroko rozpisывała się prasa i omawiała telewizja. Od tej chwili popularność jej wyszła daleko poza granice świata muzycznego.

Nicole wita się z publicznością skinieniem głowy i opiera skrzypce na ramieniu. Jej klasyczna uroda

doskonale pasuje do eleganckiego patrycjuszowskiego wnętrza i skrzypaczka wygląda, jakby zeszła ze stron średniowiecznych sztychów i renesansowych rękopisów. Pierwsze zdecydowane pociągnięcie smyczkiem po strunach od razu wydobywa z instrumentu głęboki dźwięk. Jasne jest, że Nicole i jej instrument stanowią jedność, przynajmniej przez czas wykonania utworu.

Na dworze zapadła już zimna noc i bezustannie prószy śnieg.

Tutaj, w tym eleganckim wnętrzu, przeciwnie — jest ciepło i bardzo przyjemnie.

*

Tymczasem zaledwie pięćset metrów dalej, w pobliżu stacji metra Grand Central, powoli unosi się pokrywa wejścia do kanalizacji i w otworze pojawia się rozczochna głowa mężczyzny. Kloszard o twarzy pokrytej bliznami pustym wzrokiem omiata przestrzeń...

Wypuściwszy z rąk czarnego labradora, którego trzymał w ramionach, mężczyzna z wysiłkiem wydobywa się na zaśnieżony trotuar. Przechodzi przez ulicę, przemykając z trudem między samochodami. O mało co nie wpada pod koła. Rozlega się koncert klaksonów.

Chudy, słaby włóczęga ma na sobie brudne, znoszone palto. Mijani przechodnie instynktownie przyspieszają kroku, aby jak najszybciej oddalić się od niego.

To normalne. Mężczyzna zdaje sobie sprawę z tego, że wzbudza strach, że śmierdzi brudem, moczem i potem.

Ma tylko trzydzieści pięć lat, lecz wygląda na pięćdziesiąt. Kiedyś pracował, miał żonę, dziecko i dom. To było dawno temu. Dziś jest tylko błądzącym cieniem, zakutym w szmaty duchem, mamrocącym pod nosem

niezrozumiałe dla nikogo słowa.

Ledwo trzyma się na nogach, właściwie nie tyle idzie, ile wlecze się niepewnym krokiem.

Jaki dziś dzień? Która godzina? Który miesiąc?

Nie wie. Wszystko mu się myli. Światła miasta zamazują mu się przed oczami. Lodowate płatki śniegu niesione wiatrem siekają skórę jego twarzy jak ostrze noża. Stopy ma zmrożone, brzuch obolały, czuje się, jakby za chwilę miały mu popękać kości.

Już dwa lata mijają, od kiedy porzucił społeczeństwo i ukrył się w podziemiach miasta. Jak wielu innych bezdomnych, zamieszkał w korytarzach metra, w kanałach i tunelach kolejowych. Uczciwi obywatele i turyści nie mają się czego obawiać: prowadzona przez władze miejskie polityka „zero tolerancji” przyniosła owoce. Manhattan został skutecznie wyczyszczony z bezdomnych. Przynajmniej na powierzchni. Tak, gdyż pod strzelającymi w niebo wieżowcami pulsuje życie innego miasta: to Nowy Jork pełen ludzkich wraków, wypełniający szeroką sieć tuneli, wnęk i dziur. Tysiące ludzi-kretów, przepędzonych do podziemi, wiedzie życie uciekinierów, chowa się przed policją w brudzie, pośród szczurów i ekskrementów.

Tak już jest.

Mężczyzna grzebie w kieszeni i wyciąga z niej butelczynę taniego alkoholu. Oczywiście, pije. W jego sytuacji trudno nie pić.

Jeden łyk, potem drugi.

Aby zapomnieć o zimnie, o strachu, o brudzie.

O swym poprzednim życiu.

Ostatnie pociągnięcie smyczkiem. Przez kilka sekund na sali panuje śmiertelna cisza. Ta słynna cisza, która zapada po ostatnich taktach Mozarta i w której jeszcze przez chwilę brzmi muzyka, ustępuje po paru sekundach rzęśistym oklaskom.

Skrzypaczka skłania głowę, dziękuje za bukiet kwiatów, po czym przechodzi przez salę, cały czas przyjmując gratulacje. Goście są entuzjastyczni, ale Nicole wie, że grała nie najlepiej. Technicznie doskonale, czysto, energicznie, lecz bez serca.

Z nieobecnym wzrokiem odruchowo ściska kilka dłoni, podnosi do ust kieliszek szampana. Chciałaby jak najszybciej wyjść.

— Kochanie, chcesz już wracać?

Nicole obraca się powoli w kierunku, z którego dobiegło do jej uszu tak miłe w tej chwili pytanie. Jej towarzysz, Eriq, staje przed nią z kieliszkiem martini w dłoni. Eriq jest adwokatem pracującym dla spółek biznesowych. Można powiedzieć, że od kilku miesięcy są parą. Eriq troszczy się o nią, zawsze jest w pobliżu, kiedy go potrzebuje.

— Tak. Trochę kręci mi się w głowie. Proszę, zabierz mnie do domu.

Jakby przewidując tę odpowiedź, Eriq szybko poszedł do szatni i teraz podawał jej szary flanelowy płaszcz. Nicole otuliła się nim, zapinając szczelnie kołnierz.

Żegnając się szybko z gospodarzami wieczoru, para zeszła po wielkich marmurowych schodach. Przyjęcie na piętrze dopiero się zaczynało.

— Zawołam ci taksówkę, a sam pójde do biura po samochód i spotkamy się w domu — rzekł Eriq przy drzwiach wyjściowych.

— Pójdę z tobą, przecież to pięć minut stąd.

— Żartujesz chyba. Zobacz, jaki śnieg!

— Ale chciałabym się przejść, odetchnąć świeżym powietrzem.

— To nie jest zbyt bezpieczne.

— Od kiedy przejście pieszo trzystu metrów jest niebezpieczne? Przecież będę z tobą.

— Jak chcesz.

W milczeniu skierowali się ku Piątej Alei. Szli szybko. Zimno szczypało skórę. Ruch był wciąż niewielki. Miasto pokrywały spadające cicho ciężkie płatki śniegu.

Od samochodu zaparkowanego tuż za Bryant Park dzieliło ich niecałe sto metrów. W ładną pogodę to śliczne, porośnięte zielenią miejsce idealnie nadawało się do opalania, na piknik czy grę w szachy przy fontannie. Ale tego wieczoru było tu ponuro, ciemno i pusto.

— Dawaj forse!

Nicole krzyknęła. Przed oczami ujrzała błysk stali.

— Dawaj forse, słyszysz?! — zażądał facet, grożąc nożem.

Wyglądał na osobę bez wieku, był wielki, silny. Miał ciemny płaszcz i wygoloną czaszkę. W twarzy, przeciętej napuchniętą blizną, błyszczały szalonym światłem małe złe oczy.

— Szybciej!

— Okay, okay... — skapitulował Eriq, wyjmując z kieszeni portfel i wręczając napastnikowi oprócz portfela jeszcze zegarek marki Breitling i telefon komórkowy.

Mężczyzna chwycił łup i odwrócił się do Nicole, zamierzając wyrwać jej torebkę i skrzypce.

Nicole starała się nie okazać strachu, ale nie mogła spojrzeć napastnikowi w oczy. Spuściła powieki. Czując

rękę, zrywającą jej naszyjnik z pereł, zaczęła w myślach recytować alfabet od końca. Bardzo prędko. Tak robiła w dzieciństwie, kiedy bardzo się czegoś bała.

Z Y X W U...

To pomagało jej skupić się na czymś innym, w oczekiwaniu, aż skończy się jakiś koszmar.

T S R P O...

Facet na pewno zaraz sobie pójdzie, przecież ma już to, czego chciał: pieniądze, komórkę, biżuterię...

N M L K J I H...

Zaraz sobie pójdzie. Co by mu dało, gdyby nas zabił?

G F E D C B A...

Ale kiedy Nicole otwiera oczy, ten człowiek wciąż tam stoi, grożąc jej nożem.

Eriq widzi to, ale jest skamieniały ze strachu. Nie robi najmniejszego gestu, żeby ją ochronić.

Dlaczego ona wcale się temu nie dziwi?

Tak czy inaczej, nie ma nawet czasu, żeby odskoczyć. Bezsilnie, jak zahipnotyzowana obserwuje ostrze, które za chwilę przetnie jej gardło.

A więc to już koniec? Tak dobrze się wszystko zaczęło. Świetlista droga, a potem zejście do piekieł. Ponury, jakże zaskakujący koniec. Co za niemiłe uczucie być bohaterką historii zakończonej tak okrutnie...

Dziwne. Czasem ludzie mówią, że w chwili śmierci najważniejsze momenty życia przesuwają się człowiekowi przed oczyma w przyspieszonym tempie. Nicole widzi tylko jedną scenę: ciągnącą się w nieskończoność wyludnioną plażę, na której stoją dwie sylwetki machające do niej wesoło dłońmi. Wyraźnie widzi ich twarze. Pierwsza to twarz jedyne go mężczyzny, którego naprawdę kochała, a którego nie umiała zatrzymać. Druga to twarz

córki, której nie umiała uratować.

*

Jestem martwa.

Nie. Jeszcze żyję. Jak to?

Ktoś nagle wyrósł jak spod ziemi.

Jakiś włóczęga.

Najpierw wydało się Nicole, że ten drugi też ją atakuje, ale potem zorientowała się, że nie, że stara się ją obronić. Faktycznie, cios nożem zranił jego, a nie ją, a mimo to mężczyzna szybko wstał i rzucił się na napastnika. Wyrwał mu z rąk nóż i skradzione przedmioty. Nicole widziała, jak mężczyźni zaczęli wymierzać sobie ciosy na oślep nagimi pięściami. Mimo że włóczęga był drobniejszy od napastnika, szybko wziął nad nim górę. Pomógł mu w walce pies, ciemny labrador. Napastnik uciekł.

Jednak zwycięstwo nie przyszło łatwo. Włóczęga u kresu sił zwałił się na śnieg, twarzą na pokryty lodem chodnik.

Nicole rzuciła się w jego kierunku, gubiąc po drodze lakierowany pantofel.

Uklękła na śniegu przy głowie mężczyzny, który uratował jej życie. Zobaczyła ślady krwi na śniegu. Dlaczego ten typ rzucił się jej na ratunek?

— Dajmy mu ze dwadzieścia dolarów w nagrodę...

Nie zabrzmiało to zbyt dobrze. Eriq schylił się, żeby podnieść portfel i telefon komórkowy.

Teraz, kiedy niebezpieczeństwo minęło, stał się znów eleganckim adwokatem.

Nicole popatrzyła na niego z pogardą.

— Czy nie widzisz, że on jest ranny?

— W takim razie zadzwonię po policję.

— Nie policję trzeba wezwać, tylko karetkę!

Z wysiłkiem odwróciła nieznajomego na plecy. Dotknęła krwawiącego mocno ramienia i spojrzała na zarośniętą twarz.

Dopiero gdy ujrzała jego gorączkowy, wbity w nią wzrok, poznała go.

Ale gdy to się stało, coś się w niej załamało. Oblała ją fala gorąca. Nie wiedziała, czy to cierpienie, czy ulga, czy otwiera się w niej boląca rana, czy, przeciwnie, pojawia się nadzieja.

Pochyliła się nad rannym mężczyzną, zbliżając twarz do jego twarzy, jakby chciała ochronić go przed padającym śniegiem.

— Co ty wyrabiasz? — zaniepokoił się Eriq.

— Nigdzie nie dzwoń, tylko idź po swój samochód — rozkazała mu, wstając.

— Dlaczego?

— Znam tego mężczyznę.

— Jak to, znasz go?

— Pomóż mi przewieźć go do mnie do domu — padła odpowiedź Nicole.

Eriq potrząsnął głową i westchnął.

— A któż to może, do cholery, być?

Nicole patrzyła przed siebie niewidzącym wzrokiem.

— To Mark, mój mąż — rzekła po chwili.

2

Zaginiona

*Najbardziej jesteśmy narażeni na cierpienie,
gdy kochamy.*

Sigmund Freud

Brooklyn. Drugi brzeg rzeki. Mały, luksusowy, zaciszny wiktoriański dom z wieżyczkami i ozdobnymi rynnami...

W kominku syczy ogień.

Mark Hathaway, wciąż nieprzytomny, leżał na kanapie w salonie, przykryty grubym pledem. Nad jego ramieniem pochylała się doktor Susan Kingston. Kończyła zszywanie rany.

— Zranienie jest powierzchowne — wyjaśniła stojącej obok Nicole, zdejmując lateksowe rękawiczki. — Niepokoi mnie raczej ogólny stan zdrowia Marka: jest bardzo wyziębiony no i poza tym te siniaki i odmrożenia na całym ciele...

Wcześniej tego wieczoru, gdy Susan w gronie rodzinnym jadła tradycyjny bożonarodzeniowy pudding, zadzwoniła do niej sąsiadka, Nicole Hathaway, błagając, aby przyszła opatrzyć jej rannego męża.

Mimo że ta prośba ją zaskoczyła, nie wahała się ani chwili. Wraz z mężem doskonale znali Marka i Nicole. Przed tragicznymi wydarzeniami sprzed pięciu lat bardzo się przyjaźnili. Spędzali razem wieczory, sprawdzając menu we włoskich restauracjach w Park Slope, odwiedzając antykwariaty w Brooklyn Height i uprawiając jogging w weekendy na ogromnych trawnikach Prospect Park.

Dziś czasy te wydawały się bardzo odległe, prawie nierzeczywiste.

Susan wpatrywała się w Marka i bardzo mu współczuła.

— Wiedziałaś, że Mark stał się bezdomnym włóczęgą?
— spytała.

Nicole pokręciła głową przecząco. Nie była w stanie nic powiedzieć.

Dwa lata wcześniej mąż oznajmił, że odchodzi, że nie może już tak dłużej żyć, że nie ma na to sił. Ona uczyniła wszystko, aby go powstrzymać przed tą decyzją, ale czasem „wszystko” to za mało. Od tej pory nie wiedziała, co się z nim dzieje.

— Dałam mu środek uspokajający i antybiotyki — rzekła Susan, zbierając swoje rzeczy.

Nicole odprowadziła ją do drzwi.

— Wpadnę tu jutro — obiecała Susan. — Ale...

Przerwała, odczuwając jednocześnie skrępowanie i strach przed tym, co zamierzała powiedzieć.

— Ale nie pozwól mu odejść. W tym stanie po prostu umrze.

*

— A więc?

— A więc co?

— A więc co z nim zrobimy? — spytał Eriq. — Co zrobimy z twoim mężem?

Adwokat trzymał w dłoni szklaneczkę whisky i chodził tam i z powrotem po kuchni.

Nicole patrzyła na niego niechętnym, zmęczonym wzrokiem. Co robiła z tym facetem od prawie roku? Jak mogła dzielić z nim życie? Dlaczego się do niego tak przywiązała?

— Proszę cię, idź już sobie — wyszeptała.

Eriq potrząsnął głową.

— Nie ma mowy, żebym zostawił cię samą w takiej sytuacji — rzekł.

— Kiedy facet przykładął mi nóż do szyi, nie spieszyles się specjalnie, żeby mnie ratować!

Eriq zamarł. Minęło kilka sekund, zanim zaczął szukać usprawiedliwienia.

— Przecież nawet bym nie zdążył... — zaczął i ucichł.

— Proszę cię, idź sobie — powtórzyła po prostu Nicole.

— Jeśli naprawdę tego chcesz... — rzekł. — Jutro do ciebie zadzwonię! — dodał, wychodząc.

Nicole poczuła ulgę, gdy znikł za drzwiami. Wróciła do salonu. Zgasila wszystkie lampy i po cichu przysunęła fotel do kanapy, żeby znaleźć się jak najbliżej Marka.

Jedynym źródłem światła w pokoju był teraz pomarańczowy błysk spalających się w kominku bierwion. Wokół panował spokój.

Wyczerpana, dezorientowana Nicole położyła swoją dłoń na dłoni męża i zamknęła oczy. Byli tutaj tak szczęśliwi! Gdy wreszcie znaleźli ten dom, prawie oszaleli z radości. Był to tak zwany *brownstone*, powstały pod koniec XIX wieku. Budowla miała fasadę z brązowego

kamienia i ładny ogród. Kupili ją dziesięć lat wcześniej, tuż przed narodzinami dziecka, które zamierzali wychowywać z dala od zgiełku panującego na Manhattanie.

Kilka oprawionych fotografii na półkach biblioteki przypominało o tych szczęśliwych dniach. Na pierwszej mężczyzna i kobieta trzymali się za ręce. Ich spojrzenia wyrażały głębokie porozumienie i wzajemną czułość. Romantyczne wakacje na Hawajach i pełna przygód przeprawa na motorach przez Wielki Kanion. Potem zdjęcie USG i następna fotografia, zrobiona najwidoczniej kilka miesięcy później: bobas o okrągłej buzi, świętujący swoje pierwsze Boże Narodzenie. Na ostatnich zdjęciach dziecko przemieniło się już w małą dziewczynkę tracącą mleczne zęby. Dziewczynka pozowała dumnie przed klatką z żyrafami w zoo w Bronksie, poprawiała czapkę pod prószącym śniegiem Montany, wreszcie podsuwała przed obiektyw swoje dwie rybki błazenki, Ernesta i Cappuccino.

Szczęśliwe dni, które odeszły na zawsze...

Mark zakaszał przez sen. Nicole przebiegł dreszcz. Mężczyzna śpiący na kanapie nie miał wiele wspólnego z tym, którego kiedyś poślubiła. Jedynie oprawione w ramki dyplomy i nagrody, wiszące niczym trofea na ścianach pokoju, świadczyły o tym, że Mark był kiedyś renomowanym psychologiem. FAA i FBI odwoływały się do jego kompetencji jako specjalisty od leczenia urazów związanych z porwaniem lub katastrofą samolotu. Po jedenastym września był członkiem specjalnej grupy psychologów założonej w celu pomocy rodzinom ofiar oraz tym pracownikom World Trade Center, którzy ocalili z katastrofy. Ponieważ nikt nigdy nie wychodzi

bez traumy z takiego dramatu. Część nas wciąż słyszy krzyki, widzi szalejące płomienie i krew. Może nie umarliście, ale czujecie się zbrukani, męczy was poczucie winy, zżera głucha trwoga, wciąż zadajecie sobie to samo pytanie, na które nigdy nie znajdziecie odpowiedzi: dlaczego ja przeżyłem, a inni zginęli? Ja przeżyłem, a zginęło moje dziecko, moja żona, moi rodzice...

Pracując jako psycholog, Mark powierzał wnioski ze swych doświadczeń prasie popularnonaukowej. W swoich artykułach rozpowszechniał wiedzę na temat nowych terapii — hipnozy, psychodramy — nad którymi pracował jako prekursor wraz ze swym kolegą z zespołu i przyjacielem z dzieciństwa, Connorem McCoyem. Stopniowo stał się modnym psychologiem, którego często widywano w telewizji, i ta nagła sława spowodowała, że wraz z Nicole stali się nagle celebrytami. Słynny „Vanity Fair” w numerze poświęconym najgłośniejszym parom Nowego Jorku zamieścił czterostronicowy artykuł ilustrowany atrakcyjnymi zdjęciami, na których można ich było podziwiać w całej krasie. To było jak namaszczenie.

Jednak bajka z kolorowych stron żurnali prysła jak bańka mydlana. Pewnego marcowego popołudnia ich pięcioletnia córeczka Layla zaginęła w centrum handlowym w Orange County, znajdującym się na południu Los Angeles. Gdy widziano ją ostatni raz, oglądała zabawki na wystawie sklepu Disneya. Jej opiekunka, młoda Australijka, zostawiła ją samą na kilka minut, aby zmierzyć przecenione džinsy firmy Diesel w butik obok...

Ile czasu minęło, zanim zauważyła nieobecność dziewczynki? „Nie dłużej niż pięć minut!” — zapewniła

policjantów prowadzących śledztwo. W tym wypadku równało się to wieczności. Przez pięć minut może się wydarzyć wszystko.

Wiadomo, że pierwsze godziny po zniknięciu dziecka są najważniejsze. To okres, w którym są największe szanse na to, żeby znaleźć je żywe. Po czterdziestu ośmiu godzinach szanse na to szczęśliwe rozwiązanie dramatycznie spadają.

Tamtego dnia, a był to 23 marca, lało. Mimo że dziecko znikło w biały dzień i w zatłoczonym centrum handlowym, policja miała trudności ze znalezieniem świadków wydarzenia. Przejrzenie taśm z kamer przemysłowych, które monitorowały to miejsce, nie przyniosło rezultatów, tak samo jak bezowocne okazało się przesłuchanie opiekunki, winnej co prawda pozostawienia dziecka bez opieki, ale przecież nie porwania.

Minęło wiele dni.

Przez kilka tygodni ponad stu policjantów z psami gończymi i wspomaganych z powietrza przez helikoptery przeczesало każdy metr kwadratowy całego hrabstwa. Ale mimo wysiłków FBI nie znaleziono żadnego śladu po dziewczynce.

Minęło wiele miesięcy.

Policja była zbita z tropu brakiem jakichkolwiek wskazówek. Nikt nie zażądał okupu. Nie było żadnych poszlak. Niczego.

Minęły lata.

Od pięciu lat zdjęcie Layli wisiało na każdym dworcu, lotnisku, na każdym budynku pocztowym obok zdjęć innych zaginionych dzieci.

Layla znikła. Wyparowała.

*

Tamtego dnia, 23 marca 2002 roku, życie Marka się zatrzymało.

Zniknięcie córki pogrążyło go w kompletnej rozpacz. Ból i poczucie winy niczym wybuch wewnętrznego wulkanu odcięły go od jego zawodu, od żony, od przyjaciela.

W ciągu pierwszych miesięcy zaangażował najlepszych detektywów, którzy zabrali się do drobiazgowego śledztwa. Bez rezultatu. Wówczas sam zaczął szukać dziecka.

Te poszukiwania, z góry skazane na niepowodzenie, trwały trzy lata, po czym Mark również znikł. Nie pozostawił żadnej wiadomości ani żonie, ani Connorowi.

Nicole przeżyła tę rodzinną tragedię zupełnie inaczej. Początkowo rozpacz towarzyszyło poczucie konkretnej winy: to ona naciskała, aby Layla pojechała z nią do Los Angeles, gdzie skrzypaczka została zaproszona na serię recitali. To ona znalazła opiekunkę, przez którą zdarzył się dramat. Aby stawić czoło najgorszemu, znalazła jedno wyjście: pracę. Zaczęła dawać jeden koncert za drugim, nagrywać płyty, zgodziła się nawet na wywiady na temat porwanej córki w gazetach i w telewizji, stając się z własnej woli ofiarą niezdrowego zainteresowania publiczności.

Mimo to były dni, gdy ból stawał się nie do zniesienia. Kiedy nie umiała już zwalczyć ponurych myśli, wynajmowała pokój w hotelu, kładła się do łóżka i chowała pod kołdrę, odcinając się w ten sposób od świata jak niedźwiedź zapadający w zimowy sen.

Każdy walczy z cierpieniem po swojemu...

*

Nagle w kominku strzeliło płonące polano. Mark drgnął i otworzył oczy. Podniósł się gwałtownym ruchem i przez kilka sekund nie mógł się zorientować, gdzie jest i co się z nim dzieje.

Wszystko powoli do niego wróciło, gdy zobaczył twarz Nicole.

— Czy jesteś ranna? — spytał żony.

— Dzięki tobie, nie — odpowiedziała.

Przez chwilę zdawało się, że znów zapadnie w odrętwienie, lecz nagle zerwał się z łóżka.

— Błagam cię, nie wstawaj! Musisz odpocząć.

Jakby jej nie słysząc, poszedł w kierunku wielkiego okna. Za grubą szybą widać było zaśnieżoną cichą ulicę.

— Gdzie moje ubranie?

— Wyrzuciłam je, Mark. Było brudne.

— A mój pies?

— Wzięłam go ze sobą, był tutaj, ale uciekł.

— Muszę iść! — wykrzyknął Mark, niepewnie idąc w stronę drzwi.

Nicole stanęła przed nim, tarasując mu drogę.

— Posłuchaj, jest noc, jesteś ranny, wyczerpany... Nie widzieliśmy się od dwóch lat. Musimy porozmawiać.

Wyciągnęła do niego ręce, lecz on ją odepchnął. Chwyliła go mocno za ramiona, ale zaczął się wyrwać, uderzając niechcący o półki. Jedno ze zdjęć spadło na podłogę. Rozległ się hałas tłuczonego szkła.

Mark pochylił się, podniósł zdjęcie i odstawił na miejsce. Wzrok jego padł na fotografię córki. Dziewczynka miała zielone wesołe oczy, uśmiechała się, emanowało z niej szczęście i radość życia.